

C. L. Moore, Abraham Merritt, H. P. Lovecraft, Robert
E. Howard, Frank Belknap Long

Wyzwanie spoza świata

(The Challenge from Beyond)

Fantasy Magazine, September 1935
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the round-robin story "The Challenge from Beyond" (fantasy) by C. L. Moore, Abraham Merritt, H. P. Lovecraft, Robert E. Howard, Frank Belknap Long, first publication in Fantasy Magazine, September 1935. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

[C. L. Moore]

George Campbell otworzył w ciemnościach zasnute mgiełką snu oczy i przez kilka minut leżał, wyglądając spod kłapy namiotu na jasną sierpniową noc, dopóki nie oprzytomniał na tyle, by zastanowić się co go obudziło. Ostre i czyste powietrze tych kanadyjskich lasów, było środkiem nasennym równie mocnym jak najlepsze lekarstwa. Campbell przez chwilę leżał spokojnie, zapadając z wolna na powrót w rozkoszne obrzeża snu, czując przyjemne zmęczenie, niezwykle dla niego wrażenie spracowanych mięśni, które teraz odprężały się z absolutną łatwością. Pomimo wszystko, były to najwspanialsze chwile wakacji – odpoczynek po trudzie, w objęciach czystej, słodkiej leśnej nocy.

Podczas kiedy jego myśli powoli rozplýwały się w niebycie, z zadowoleniem zapewnił się kolejny raz, że ma przed sobą trzy długie miesiące wolności – wolności od miast i monotonii, wolności od zajęć na uniwersytecie i studentów nie wykazujących nawet śladu zainteresowania geologią, którą musiał wtłaczać do ich opornych umysłów, żeby zarobić na chleb. Wolności od...

Nagle otaczająca go aura rozkosznej senności rozpadła się z trzaskiem. Jego spokój rozbił dobiegający gdzieś z zewnątrz głośny szcęk metalu o metal. George Campbell raptownie usiadł i sięgnął po latarkę. Po chwili roześmiał się i odłożył ją na miejsce, wyteżając wzrok w panujących na zewnątrz ciemnościach nocy, gdzie pośród sterty puszek z jego zapasami, buszowało w mroku jakieś małe nocne stworzenie. Wyciągnął rękę i zaczął macać koło wejścia do namiotu, szukając nadającego się na pocisk kamienia. Jego palce zamknęły się na czymś całkiem sporym i wciągnął rękę z powrotem, aby tym rzucić.

Jednak pocisk nigdy nie opuścił jego ręki. Znaleziona w ciemnościach rzecz wyglądała bardzo dziwnie. Była kanciasta, krystalicznie gładka, ewidentnie sztuczna, z tępo zaokrąglonymi narożnikami. Niespotykany charakter wyczuwanego pod palcami kształtu i powierzchni, tak bardzo zwrócił jego uwagę, że sięgnął ponownie po latarkę i skierował jej światło na trzymaną rzecz.

Resztki senności opuściły go natychmiast, kiedy zobaczył co wpadło mu w ręce, w ciemnościach. Był to przejrzysty jak górski kryształ, dziwny, gładki sześcian. Kwarc, bez wątplenia, ale nie w swej zwyczajnej sześciokątnej krystalicznej postaci. W jakiś sposób – nie domyślał się nawet jak – został obrobiony do perfekcyjnego sześcianu, mierzącego mniej więcej cztery cale, wzdłuż każdej ze zniszczonych krawędzi. Ponieważ był on niewiarygodnie zerodowany. Twardy, bardzo twardy kryształ, obecnie został już tak bardzo zaokrąglony, że jego narożniki niemalże zniknęły i całość zaczynała przyjmować zarysy kuliste. Wieki erozji, niemal niezliczone jej lata, musiały kłaść się cieniem na tym dziwnym przezroczystym przedmiocie.

Ale najciekawsze ze wszystkiego było to, że w sercu kryształu dostrzegał jakiś zamglony kształt. W samym jego środku znajdował się

niewielki dysk z białawej, nieznanej substancji, z głębokimi znakami wyżłobionymi na widocznej przez kryształ powierzchni. Trójkątne znaki odrobinę przypominały mu pismo klinowe,

George Campbell zmarszczył brwi i nachylił się niżej nad zagadkowym przedmiotem, który wpadł mu w ręce, bezradnie łamiąc sobie nad nim głowę. Jak coś takiego mogło znaleźć się w środku jednorodnego kawałka kryształu? Z głębi pamięci przemknęła mu przez głowę stara legenda, mówiąca o tym, że kryształy kwarcu są lodem, który zamarzał za bardzo, aby z powrotem się roztopić. Lód – i trójkątne kształty pisma klinowego – zaraz, czy ten rodzaj pisma nie został wymyślony przez Sumeryjczyków, którzy przybyli z północy, aby w najdalszych początkach ludzkości osiedlić się w pierwotnej dolinie Mezopotamii? Potem jednak zdrowy rozsądek odzyskał nad nim kontrolę, i roześmiał się. Kwarc, oczywiście, utworzył się we wczesnych okresach geologicznych istnienia Ziemi, kiedy nie było na niej niczego poza gorącymi i wypiętrzającymi się skałami. Lód pojawił się dziesiątki milionów lat po tym, jak ta rzecz została uformowana.

I jeszcze – to pismo. Z pewnością stworzone przez człowieka, chociaż jego litery były nieznajome, poza mglistym podobieństwem do pisma klinowego. Ale czy wtedy, w paleozoicznym świecie, mogły istnieć jakieś stworzenia posługujące się językiem pisanym, potrafiące wyryć te tajemnicze kliny na zamkniętym w kwarcu dysku, który trzymał w ręku? Albo... czy ten przedmiot mógł spaść z kosmosu, tak jak meteor, na niewykształcone skały, ciągle jeszcze roztopionej planety? Mógłby wtedy...

W tym momencie ściągnął ostro wodze rozbuchanej wyobraźni, czując że uszy robią mu się gorące ze wstydu. Cisza, samotność i dziwny przedmiot w jego rękach, zaczęły razem knuć spiski, aby płać figle zdrowemu rozsądkowi. Wzruszył ramionami i odłożył kryształ na brzeg materaca, wyłączając latarkę. Może ranek i świeża głowa, przyniosą mu odpowiedzi na pytania, które obecnie wydawały się nierozwiązywalne.

Ale sen nie przyszedł mu łatwo. Przede wszystkim, wydawało mu się, kiedy gasił światło, że niewielki sześcian rozjarzył się na chwilę, tak jakby przechował światło, zanim zapadł w otaczające go ciemności. A może był w błędzie. Może to tylko jego oślepionym oczom zdawało się że widzą błysk światła, niechętnie opuszczającego przedmiot, płonącego w jego zagadkowych głębinach z dziwnym uporem.

Leżał niespokojnie przez dłuższy czas, obracając w głowie raz za razem pytania, na które nie znał odpowiedzi. W tym kryształowym sześcianie z niezmierzonej przeszłości, może nawet z samego początku historii, było coś co rzucało mu nie pozwalające spać wyzwanie.

[Abraham Merritt]

Leżał tak, wydawało mu się, przez wiele godzin. Jego umysł przez cały czas wracał do tego upartego światełka, poświaty która jakby nie chciała zgasnąć. Jak gdyby w sercu sześcianu coś się obudziło, poruszyło się

sennie, a potem w jednej chwili odzyskało czujność... i skupiło się na jego osobie.

To już była czysta fantazja. Przekręcił się niecierpliwie i poświecił latarką na zegarek. Prawie pierwsza; do świtu zostały jeszcze trzy godziny. Światło latarki opadło i skoncentrowało się na ciepłym kryształowym sześcianie. Utrzymywał je na nim uważnie, przez kilka minut. Wyłączył latarkę, a potem obserwował.

Teraz już nie było wątpliwości. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył jak dziwny kryształ głęboko w środku migocze małutkimi ulotnymi światełkami, wyglądającymi jak niteczki szafirowych błyskawic. Znajdowały się one w samym jego centrum i wydawało się mu, że wychodzą z białawego dysku pokrytego niepokojącymi znakami. A sam dysk robił się większy... znaki zmieniały kształty... sześcian również się rozrastał... może to było złudzenie wywoływane przez małutkie rozbłyski.

Usłyszał dźwięk. Brzmiał on niesamowicie upiornie, tak jakby duchy strun harfy tręcane były czyimiś widmowymi palcami. Nachylił niżej ucha. Dobiegał z sześcianu...

W poszyciu leśnym rozległo się piszczenie, szamotanina ciał i udręczony płacz, jakby dziecka w śmiertelnych bólach, który niemal natychmiast się uspokoił. Jakaś niewielka tragedia w leśnych ostępach, zabójca i jego ofiara. Podszedł do miejsca w którym to się stało, ale niczego nie zobaczył. Po raz kolejny wyłączył latarkę i popatrzył w stronę swojego namiotu. Na ziemi widać było bladoniebieskie migotanie. To był sześcian. Podszedł i nachylił się, żeby go podnieść; potem jednak posłuchał jakiegoś niewytłumaczalnego ostrzeżenia i cofnął rękę.

I znowu zobaczył, jak jego poświata przygasa. Małutkie szafirowe błyskawice, niespokojnie rozbłyskując, wycofywały się do dysku, z którego się wyłoniły. Nie było już słychać żadnego dźwięku.

Siedział, przyglądając się jak poświata rozjarza się i przygasa, rozjarza i przygasa, ale z każdym razem staje się coraz ciemniejsza. Zrozumiał, że do uzyskania tego fenomenu, niezbędne były dwa elementy. Nie tylko promień światła elektrycznego, ale również jego nieustanna uwaga. Jego umysł musiał się przenieść po promieniu i ustawić w sercu sześcianu, jeśli pulsowanie światła miało narastać, aż do... czego?

Poczuł chłód w duszy, jak gdyby na skutek kontaktu z jakimś obcym stworzeniem. To było coś obcego, wiedział o tym. Nie z tej ziemi. Nie z ziemskiego życia. Pokonał swój dziwny opór, podniósł sześcian i zabrał do namiotu. Nie był ani zimny, ani ciepły; gdyby nie jego ciężar, nie czułby nawet że go trzyma. Położył go na stole, trzymając latarkę odwróconą od niego; następnie podszedł do klapy namiotu i zamknął ją.

Wrócił do stołu, przysunął krzeselko kampingowe, i skierował snop światła bezpośrednio na sześcian, starając się skupiać go, na środku przedmiotu. Wysłał po tym promieniu całą swoją wolę, całą swoją koncentrację; skupiając myśli i wzrok na dysku, na który świecił latarką.

Jakby na życzenie, pojawiły się szafirowe rozbłyski. Wystrzeliły z dysku rozświetlając cały kryształowy sześcian, a następnie odbiły od jego wewnętrznej powierzchni i skąpały blaskiem dysk oraz znajdujące się na nim znaki. I znowu te ostatnie w błękitnym świetle zaczęły się zmieniać,

przemieszczać, przesuwając; przysuwać i wycofywać. Nie wyglądały już jak znaki pisma klinowego. Zmieniły się w rzeczy... obiekty.

Usłyszał ponownie szmer muzyki, szarpane struny harfy. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, i teraz już cały sześcian wibrował w jego rytmie. Kryształowe ściany zaczęły się roztopiać, zasnuwać mgłą, jak gdyby zbudowane zostały z diamentowej mgiełki. Sam dysk rozrastał się... kształty przesunęły się, dzieliły, mnożyły, tak jakby otworzyły się jakieś drzwi i wlewały się przez nie całe stada fantasmagorii. Jednocześnie pulsujące światło robiło się jaśniejsze, coraz jaśniejsze.

Poczuł napływ paniki, próbował odwrócić wzrok i wolę, odrzucić od siebie latarkę. Sześcian jednak nie potrzebował już jej światła... a on nie mógł się wycofać... wycofać się? Przecież obecnie coś wręcz wciągało go siłą w ten dysk, który przybrał teraz kształt kuli, wewnątrz której jakieś niemożliwe do nazwania kształty tańczyły w rytm muzyki, zalewającej kulę stałym strumieniem.

Nie było już żadnego namiotu. Istniała tylko ogromna zasłona iskrzącej się mgły, za którą świeciła kula... Poczuł, że coś go wciąga w tę mgłę, zasysa, jakby potężny strumień powietrza, prosto na kulę.

[H. P. Lovecraft]

W miarę jak, rozpraszane we mgle, światło szafirowych słońc nabierało coraz większej intensywności, zarysy znajdującej się z tyłu kuli drżały i rozmywały się w wirującym chaosie. Jej biały kształt, ruch i muzyka – wszystko to stapiało się z otaczającą ją mgłą – zmieniając jej kolor na blado-stalowy i wprawiając ją w falisty ruch. Wkrótce również szafirowe rozbłyski, roztopiły się niezauważalnie w szarościach nieskończoności bezkształtnych pulsacji.

W międzyczasie uczucie przemieszczania się do przodu, narosło nieznośnie, niewiarygodnie, z kosmiczną szybkością. Wszystkie rekordy prędkości znane na Ziemi, skarłały, i Campbell zdawał sobie sprawę, że taki lot w fizycznej rzeczywistości, musiałby oznaczać dla każdej istoty ludzkiej, natychmiastową śmierć. Nawet w stanie w jakim był obecnie – dziwnej diabelskiej hipnozy lub koszmaru – to pseudo-wizualne wrażenie pędzącego lotu z prędkością meteoru, niemalże paraliżowało mu umysł. Chociaż w szarej, pulsującej pustce nie było żadnych rzeczywistych punktów odniesienia, poczuł, że zbliża się prędkości samego światła, a potem ją przekracza. W końcu jego świadomość się poddała – i wszystko roztopiło się w litościwej ciemności.

Zupełnie nagle, pośród najbardziej nieprzeniknionej ciemności, do umysłu George'a Campbella powróciły myśli i idee. Ile chwil – lat – czy też wieczności, upłynęło od czasu rozpoczęcia tego lotu przez szarą pustkę, nie potrafił nawet w przybliżeniu oszacować. Wiedział tylko, że teraz już zdawał się pozostawać spoczynku i nic go nie bolało. Tak prawdę mówiąc, brak wszelkich odczuć fizycznych był jedną z wyróżniających się cech jego obecnego stanu. Powodował on, że nawet czern wyglądała mniej czarno –

sugerując, że w chwili bieżącej, był raczej odcieleśnioną inteligencją, stojącą ponad fizycznymi zmysłami, a nie istotą z krwi i kości, której zmysły odcięte zostały od zwykłych obiektów percepcji. Potrafił myśleć, jasno i szybko – niemalże w nadprzyrodzony sposób – a jednak nie mógł stworzyć żadnego, nawet najbardziej mglistego, obrazu swojej sytuacji.

Na wpół instynktownie, uświadamiał sobie, że nie jest już w swoim namiocie. To prawda, mógł przecież obudzić się z tego koszmaru ciągle będąc w środku, tyle że w nieprzeniknionej ciemności, jednak jakoś wiedział, że jest inaczej. Nie wyczuwał pod sobą łóżka kampingowego – nie miał dłoni, żeby poczuć dotykiem prześcieradło, powierzchnię tkaniny naciągu, czy latarkę, która powinna leżeć gdzieś koło niego – nie odbierał też wrażenia chłodu w powietrzu – nie było klapy przez którą mógłby dostrzec jasną noc na zewnątrz... coś było nie tak, straszliwie nie tak.

Jego myśli wróciły do fluoryzującego sześcianu, który go zahipnotyzował – tego, oraz wszystko co wydarzyło się później. Wiedział, że potem jego umysł funkcjonował, a jednak nie był w stanie cofnąć się do tego, co się stało. W ostatniej zapamiętanej chwili, dominowało szokujące, paniczne przerażenie – podświadome przerażenie, przekraczające nawet to, spowodowane uczuciem demonicznego lotu. Wiązało się ono z jakimś nie do końca jasnym rozbłyskiem pamięci, albo odległym wspomnieniem – dokładnie, nie był w stanie powiedzieć. Nieznana grupa komórek mózgowych, gdzieś w głębi głowy, zdawała się odnajdywać w sześcianie jakieś mgliście znajome cechy – i ta wiedza wiązała się z czymś przerażającym. Teraz próbował sobie przypomnieć, cóż on takiego znajomego dostrzegł w tym przedmiocie oraz na czym polegała groza tych rzeczy.

Krok po kroku, zaczął sobie przypominać. Kiedyś – bardzo dawno temu, w związku ze swoim życiem zawodowym geologa – czytał o czymś podobnym do tego sześcianu. Miało to coś wspólnego z pewnymi szeroko diskutowanymi i niepokojącymi glinianymi odłamkami, nazywanymi skorupami z Eltdown, wykopanymi z warstw prekarbońskich w południowej Anglii, trzydzieści lat temu. Ich kształt i wyryte na nich znaki były tak dziwne, że zaledwie paru uczonych sugerowało ich sztuczny charakter i czyniło szalone przypuszczenia odnośnie nich samych, oraz ich pochodzenia. Sięgały one korzeniami, niewątpliwie, czasów kiedy na naszej planecie nie mogły jeszcze żyć żadne istoty ludzkie – ale ich kształty i konstrukcja były diabelnie zastanawiające. Stąd znał ich nazwę.

Jednakże to nie w pismach chłodnych naukowców, Campbell znalazł kiedyś odniesienie do kryształu zawierającego w sobie dysk. Źródło było znacznie mniej szacowne, ale o nieskończenie bardziej bujnym charakterze. Około 1912 roku, gruntownie wykształcony duchowny z Sussex, o skłonnościach okultystycznych – wielebny Arthur Brooke Winters-Hall – twierdził, że odkrył podobieństwa znaków na Skorupach z Eltdown do niektórych tak zwanych „przedludzkich hieroglifów”, uparcie cenionych oraz ezoterycznie przekazywanych sobie w spuściźnie, w pewnych kręgach mistycznych, i opublikował własnym kosztem dzieło pretendujące do miana „tłumaczenia” tych starożytnych i kłopotliwych „inskrpcji”. „Tłumaczenia” ciągle często cytowanego i z powagą

traktowanego przez okultystycznych pisarzy. W tym „tłumaczeniu” – zaskakująco długiej broszurze, biorąc pod uwagę ograniczoną liczbę istniejących „skorup” – występowało opowiadanie, podobno przedludzkiego autorstwa, zawierające to odniesienie, które teraz budziło w nim taką obawę.

Jak głosiła ta opowieść, niegdyś na Ziemi zamieszkiwała – jak również na niezliczonych innych planetach – pochodząca z kosmosu, potężna rasa istot podobnych do robaków, której osiągnięcia i kontrola nad naturą, przekraczała wszystko, co było w zasięgu ludzkiej wyobraźni. Opanowała ona sztukę podróży międzygwiazdnych, już na początku swojego rozwoju, i zaludniła każdą nadającą się do życia planetę w swojej galaktyce, niszcząc wszystkie inne odnalezione rasy.

Poza granicami swojej galaktyki – nie była to nasza – nie mogli oni żeglować osobiście; ale podczas swych wędrówek w poszukiwaniu wiedzy całego kosmosu i czasu, odkryli sposoby pokonywania międzygalaktycznych otchłani, przy pomocy umysłów. Wynaleźli pewne osobliwe przedmioty – dziwnie naenergetyzowane sześciany ze specyficznego kryształu, zawierające w środku hipnotyczny talizman, zamknięte w odpornych na działanie przestrzeni kosmicznej sferycznych otoczkach z nieznanej substancji – które mogły być wysyłane poza granice ich wszechświata, i które reagowały wyłącznie na przyciąganie chłodnej, stałej materii.

Kryształy te, z których niewielka część musiała w końcu wylądować na różnych zamieszkałych planetach w zewnętrznych wszechświatach, tworzyły mosty eteryczne, niezbędne do komunikacji mentalnej. Tarcie atmosferyczne wypalało ochronną otoczkę, odsłaniając sześcian i wystawiając go na odkrycie przez inteligentne umysły, na planecie na którą spadł. Z samej swej natury sześcian miał przyciągać i przykuwać uwagę. To, w połączeniu z oddziaływaniem światła, wystarczało do uruchomienia działania jego specjalnych właściwości.

Umysł, który dostrzegł sześcian, przyciągany był do niego przez moc dysku, a następnie wysyłany po nitce jakiejś nieznanej energii do miejsca, z którego dysk pochodził – na odległą planetę robakowatych kosmicznych odkrywców – poprzez oszałamiające międzygalaktyczne otchłanie. Po odebraniu przez jedną z maszyn, do których był dostrojony, porwany umysł pozostawał w zawieszeniu, bez ciała i zmysłów, dopóki nie został przesłuchany przez kogoś z dominującej rasy. Wtedy, dzięki nieznanemu procesowi wymiany, można było przepompować całą jego zawartość. Po tej operacji umysł przesłuchującego mógł zająć miejsce w tej obcej maszynie, zaś porwany umysł obejmował robakopodobne ciało przesłuchującego. Potem, w wyniku kolejnej wymiany, umysł przesłuchującego przeskakiwał przez nieograniczone obszary kosmosu do wolnego i pozbawionego świadomości ciała porwanego, na planecie w innej galaktyce – ożywiając odziedziczone ciało najlepiej jak potrafił, badając obcą planetę pod maską jednego z jej mieszkańców.

Zakończywszy badania, podróżnik mógł skorzystać z sześcianu oraz jego dysku, aby powrócić do siebie – i bywało że porwany umysł mógł bezpiecznie wrócić na swą odległą planetę. Nie zawsze jednak dominująca

rasa była tak uprzejma. Czasami, kiedy odnaleziono jakąś potencjalnie istotną rasę, zdolną do podróży kosmicznych, robakopodobny lud mógł wykorzystać sześcian do chwytania i unicestwiania umysłów całymi tysiącami, i wyniszczyć całą rasę z powodów dyplomatycznych – używając umysłów badaczy jako agentów zniszczenia.

W innych przypadkach część robakopodobnego ludu mogła na stałe zająć pozagalaktyczną planetę – niszcząc porwane umysły i unicestwiając pozostałych mieszkańców w procesie przygotowań do osiedlenia się w nieznanym sobie ciałach. Nigdy, jednakże, w takich przypadkach nie udało się w pełni powielić rodzimej cywilizacji, ponieważ nowa planeta nie posiadała wszystkich materiałów niezbędnych dla rozwoju sztuk robakowatej rasy. Sześciany, na przykład, mogły być wytwarzane wyłącznie na ojczystej planecie.

Bardzo niewiele z tej niezliczonej liczby wysłanych sześcianów, w ogóle znalazło miejsce do lądowania i spotkało się z odpowiednią reakcją na zamieszkałej planecie – ponieważ nie było mowy o czymś takim, jak intencjonalne ich nakierowanie na cele leżące poza zasięgiem widoczności, a nawet wiedzy. Patrząc w głąb historii, tylko trzem z nich udało się wylądować na zaludnionych planetach naszego własnego wszechświata. Jeden z nich trafił na planetę w pobliżu obrzeży galaktyki, dwa tysiące miliardów lat temu, podczas gdy drugi przybył trzy miliardy lat temu na świat w pobliżu centrum galaktyki. Trzeci – jedyny, o którym wiadomo, by najechał Układ Słoneczny – dotarł na naszą Ziemię przed 150 000 000 lat.

I właśnie tego ostatniego głównie dotyczyło „tłumaczenie” dr Winters-Halla. Kiedy sześcian spadł na Ziemię, jak pisał, rządzącym ziemskim gatunkiem, była wielka, stożkkształtna rasa, wyprzedzająca wszystkie inne, zarówno poprzednie jak i następne, pod względem rozwoju umysłowego i osiągnięć. Rasa ta była tak zaawansowana, że właściwie potrafiła wysyłać umysły za granice zarówno przestrzeni jak i czasu, aby badać kosmos, i dzięki temu dowiedziała się części z tego co się wydarzyło, kiedy sześcian spadł z nieba i pewne osoby doznały zmiany umysłowej, po spojrzeniu na niego.

Wiedząc, że zmienione osoby przechowują umysły najeźdźców, przywódcy tej rasy kazali je zniszczyć – nawet za cenę pozostawienia wysiedlonych umysłów na wygnaniu, w kosmosie obcych. Mieli oni doświadczenia z jeszcze bardziej nawet dziwnymi przemieszczeniami umysłów. Kiedy za pośrednictwem mentalnej eksploracji przestrzeni i czasu, zyskali ogólne pojęcie czym był sześcian, starannie usunęli tę rzecz ze światła dziennego, strzegąc jej, jako ogromnego zagrożenia. Nie chcieli niszczyć rzeczy o tak bogatej gamie późniejszych eksperymentalnych możliwości. Od czasu do czasu jakiś w gorącej wodzie kąpany i pozbawiony skrupułów poszukiwacz przygód, mógł skrycie uzyskać do niego dostęp, i nie patrząc na konsekwencje spróbować niebezpiecznie swych sił – lecz takie przypadki były szybko wykrywane i rozwiązywane w drastyczny, ale bezpieczny sposób.

Jedynym złym skutkiem tych niebezpiecznych zabaw, było to, że robakopodobna rasa dowiedziała się od nowych wygnańców, co się stało z

jej wysłannikami na Ziemi i nabrała gwałtownej nienawiści do planety i wszystkich zamieszkujących ją form życia. Gdyby tylko mogli, zniszczyliby jej mieszkańców i nawet wysłali w kosmos dodatkowe sześciany, z szaleńczą nadzieją, że spadną one jakimś przypadkiem na niestrzeżone miejsca – ale taka sytuacja nigdy się nie wydarzyła.

Stożkokształtne istoty ziemskie trzymały jedyny istniejący sześcian w specjalnej świątyni, jako relikwię i przedmiot eksperymentów, dopóki po całych eonach nie zaginął on pośród chaosu wojny i zniszczenia wielkiego polarnego miasta, w którym go strzeżono. Kiedy, pięćdziesiąt milionów lat temu, istoty te wysłały swe umysły do przodu w czasie, w nieskończoną przyszłość, aby uniknąć bezmiennego zagrożenia z wnętrza Ziemi, miejsce w którym znajdował się złowrogi sześcian z kosmosu, nie było znane.

Tyle, według uczonego okultysty, mówiły Skorupy z Eltdown. Wypadek, który wydarzył się obecnie, przeraził Campbella z powodu drobiazgowej dokładności, z jaką został na nich opisany obcy sześcian. Zgadzał się każdy szczegół – wymiary, konsystencja, pokryty hieroglifami dysk w środku, hipnotyczne efekty. Po tym jak przemyślał całą tę sprawę raz i drugi, w ciemnościach dziwnej sytuacji, w jakiej się znajdował, zaczął się zastanawiać, czy całe to doświadczenie z kryształowym sześcianem – a nawet samo jego istnienie – nie były nocnym koszmarem wywołanym przez wybryk podświadomego wspomnienia o tej dawnej, ekstrawaganckiej, szarlatańskiej lekturze. Jeśli jednak tak było, koszmar nadal musiał działać, ponieważ jego obecny, ewidentnie bezcielesny stan, nie miał w sobie nawet śladu normalności.

Czasu wykorzystanego na to intrygujące wspomnienie i refleksję, Campbell nie był w stanie nawet oszacować. Wszystko, co dotyczyło jego stanu, było tak nierealne, że zwykłe pomiary i obliczenia stały się pozbawione znaczenia. Wydawało się, że minęła wieczność, ale może nie minęło wcale tak wiele czasu, zanim nie wydarzyła się kolejna nagła przerwa. Wszystko co się stało, było takie dziwne i niewytłumaczalne, jak czerń, która nastąpiła potem. Pojawiło się pewne odczucie – raczej umysłu niż ciała – i Campbell natychmiast poczuł, że jego myśli kierują się, albo są przyciągane, bez jego kontroli w skłębiony, chaotyczny sposób.

Wspomnienia wyłaniały się bez żadnej jego władzy nad tym procesem oraz żadnego powiązania między nimi. Wszystko co wiedział – całe jego życie osobiste, tradycje, wiedza naukowa, marzenia, idee i inspiracje – wytrysnęły jak fontanna, gwałtownie, jednocześnie, z oszałamiającą prędkością i w takiej ilości, że wkrótce nie był w stanie śledzić poszczególnych koncepcji. Parada całej zawartości jego umysłu zmieniła się w lawinę, kaskadę, wir. Było to równie straszne i oszałamiające jak hipnotyczny lot przez kosmos, gdy pociągnął go kryształowy sześcian. W końcu wyciągnięto z niego całą osobowość, co spowodowało ponowną utratę świadomości.

Kolejna niemierzona pustka – a później powolny strumyczek odczuć. Tym razem miały one charakter fizyczny, nie mentalny. Szafirowe światło i przyciszony odgłos odległego dźwięku. Pojawiły się wrażenia dotykowe – był już w stanie uzmysłowić sobie, że leży na czymś wyciągnięty, chociaż

w poczuciu ciała pojawiły się jakieś dziwne, zdumiewające odczucia. Nie potrafił pogodzić odczucia dotyku podtrzymującej go powierzchni, z kształtami swego ciała – a nawet ogólnie z kształtami ludzkiej postaci. Próbował poruszyć rękoma, ale nie zauważył żadnej konkretnej reakcji swego ciała na podjętą próbę. Zamiast niej pojawiły się nieznaczne, pozbawione efektu, skurcze nerwowe, na całym obszarze, który zdawało się wyznaczać jego ciało.

Próbował szerzej otworzyć oczy, ale stwierdził że nie może kontrolować ich mechanizmu. Szafirowe światło dochodziło w rozproszony, mglisty sposób i w żadnym miejscu nie mógł się celowo skoncentrować na czymś bardziej konkretnym. Stopniowo jednak, wrażenia wzrokowe, zaczęły się przebijać w osobiwy, niezdecydowany sposób. Zakres i jakość widzenia nie były takie, do jakich był przyzwyczajony, ale był w stanie z grubsza powiązać ten zmysł z tym, co znał jako wzrok. Kiedy zmysł ten uzyskał pewien stopień stabilności, Campbell uświadomił sobie, że ciągle jeszcze musi tkwić w kleszczach koszmaru.

Wyglądało na to, że jest w jakimś pomieszczeniu znacznych rozmiarów – o średniej wysokości, ale o dużej, proporcjonalnej powierzchni. Z każdej strony – a mógł najwyraźniej patrzeć na wszystkie cztery strony jednocześnie – znajdowały się wysokie, wąskie szczeliny, wydające się służyć jako kombinacja drzwi i okien. W pomieszczeniu były również jakieś osobiwe niskie stoły lub podium, ale żadnego umeblowania normalnej natury i rozmiarów. Przez szczeliny wpadały strumienie szafirowego światła, a za nimi można było mgliście dostrzec boki i dachy fantastycznych budynków, wyglądających jakby były poskładane z kostek. Na ścianach – na pionowych panelach między szczelinami – znajdowały się obce napisy, o dziwnie niepokojącym charakterze. Minęło trochę czasu, zanim Campbell zrozumiał dlaczego tak bardzo go one trapiły – dostrzegł wtedy, że były to w powtarzających się sekwencjach, dokładnie takie same znaki jak niektóre z hieroglifów na dysku w kryształowym sześciacie.

Najbardziej jednak koszmarnym elementem tego wszystkiego, było coś, co wydarzyło się później. Zaczęło się to od żywego stworzenia, które wkrótce weszło przez jedną z tych szczelin, zmierzając ewidentnie w jego stronę, niosąc metalowe pudełko o dziwacznych proporcjach i szklistych, podobnych do luster powierzchniach ścianek. W tym stworzeniu nie było nic ludzkiego – nic ziemskiego – nawet z ludzkich mitów i snów. Był to gigantyczny bladoszary robak albo stonoga, o obwodzie zbliżonym do obwodu człowieka i dwa razy większej długości. Miało głowę w kształcie dysku, wyraźnie pozbawioną oczu, obwiedzioną dookoła rzęsami, z purpurowym otworem pośrodku. Ślizgało się na tylnych parach odnóży, z przednią częścią ciała uniesioną pionowo – odnóża w tej części, co najmniej dwie pary, służyły jako ręce. Wzdłuż górnej części grzbietu stworzenia wyrastał dziwaczny purpurowy grzebień, a jego groteskowe cielsko kończył wachlarzowaty ogon z jakiejś szarej membrany. Wokół karku stwór miał pierścień z elastycznych czerwonych kolców, które skręcając się wysyłały trzaskające i brzęczące dźwięki, w zamierzonym, umyślnym rytmie.

Był to naprawdę punkt szczytowy przeżywanego przez niego koszmaru, w całej okazałości – gwóźdź programu tej szalonej fantazji. Ale nawet ten deliryczny widok nie spowodował jeszcze, że George Campbell zapadł po raz trzeci w nieświadomość. Powodem była kolejna rzecz – ostateczna kropla, która przelała kielich. Kiedy bezimienny robak ze swym błyszczącym pudełkiem, posuwał się w jego stronę, cofający się człowiek pochwycił na lustrzanej powierzchni ścianki, przelotny widok tego, co powinno być jego własnym ciałem. Ale – w straszliwy sposób potwierdzając nieuporządkowane i niezwykle odczucia George’a – to co ujrzał odbite w wypolerowanym metalu, wcale nie było jego ciałem. Zamiast niego pojawiło się w nim ohydne, bladoszare, potężne cielsko wielkiej stonogi.

[Robert E. Howard]

Z tej ostatniego fazy bezsensu, wyłonił się z pełnym zrozumieniem swojej sytuacji. Jego umysł został uwięziony w ciele przerażającego tubylca z innej planety, podczas gdy, gdzieś po drugiej stronie wszechświata, jego ciało gościło osobowość potwora.

Zdusił w sobie ślepe przerażenie. Oceniając z kosmicznego punktu widzenia, dlaczego niby taka metamorfoza miałaby go przerażać? Życie i świadomość były jedynymi rzeczywistymi rzeczami we wszechświecie. Ich forma była nieważna. Jego obecne ciało było ohydne tylko według ziemskich standardów. Strach i obrzydzenie roztopiły się w poekscytowaniu tytaniczną przygodą.

W każdym razie, czy jego dawne ciało nie było tylko powłoką, która i tak miała ostatecznie zostać odrzucona w chwili śmierci? Nie żywił żadnych sentymentalnych iluzji, związanych z życiem, jakie pozostawił za sobą. Czy kiedykolwiek dało mu ono coś, poza trudem, ubóstwem, ciągłą frustracją i represją? Jeżeli nawet to nowe życie, które miał przed sobą, nie oferuje mu więcej, to przynajmniej nie oferuje mu mniej. Intuicja mówiła mu, że może spodziewać się więcej – znacznie więcej.

Z uczciwością możliwą tylko wtedy, gdy życie człowieka zostanie obnażone do gołych podstaw, uświadomił sobie, że z przyjemnością wspominał jedynie fizyczne rozkosze swego poprzedniego życia. Ale wszystkie fizyczne możliwości zawarte w tamtym ziemskim ciele, wyczerpały się już dawno temu. Ziemia nie dostarczała mu nowych podniet. Ale posiadając to nowe, obce ciało, czuł dreszczyk obietnic dziwnych, egzotycznych przyjemności.

Narastało w nim niekontrolowane uniesienie szczęścia. Był człowiekiem bez planety, wolnym od wszelkich konwenansów i krępujących zwyczajów zarówno Ziemi, jak i tej obcej planety, wolnym od wszelkich sztucznych ograniczeń we Wszechświecie. Był bogiem! Z ponurym rozbawieniem pomyślał o swym ciele poruszającym się pośród tych wszystkich ziemskich spraw i społeczności, podczas gdy przez cały czas z okien oczu George’a

Campbella wygląda obcy potwór, patrząc na ludzi, którzy gdyby o tym wiedzieli, uciekliby z krzykiem.

A niech tam sobie chodzi po Ziemi, zarządzając wszystkie rzezie i zniszczenia, jakie uda mu się poczynić. Ziemia i zamieszkujące ją rasy, przestały mieć dla George'a Campbella jakiegokolwiek znaczenie. Tam był tylko jednym z miliarda szarych ludzi, uwiązanych w miejscu przez ogromne nagromadzenie konwenansów, praw i zwyczajów, skazanych na życie i śmierć w swej paskudnej niszy. Ale dzięki jednemu skokowi na ślepo, wzniósł się ponad wszystkich innych. To nie była śmierć, ale odrodzenie - narodziny w pełni rozwiniętego umysłu, z nowoodkrytą wolnością, która niewiele sobie robiła z fizycznego uwięzienia na Yekub.

Drgnął. Yekub! Tak nazywała się ta planeta, ale skąd on to wiedział? Potem zorientował się, że zna również imię tego, którego ciało zajmował – Tothe. Wspomnienia, głęboko wryte w mózgu Tothe, poruszyły go – cienie wiedzy, posiadanej przez Tothe. Wryły się głęboko w fizyczne tkanki jego mózgu, a teraz przemawiały mgliście, jako zaimplantowane instynkty, do George'a Campbella. Jego ludzka świadomość pochwyliła je i przetłumaczyła, pokazując drogę nie tylko ku bezpieczeństwu i wolności, ale ku mocy duszy, odartej do poziomu najbardziej prymitywnych impulsów, pragnącej. Na Yekub mógłby żyć nie jako niewolnik, lecz król! Tak jak ci antyczni barbarzyńcy, którzy zasiadali na tronach dostojnych imperiów.

Po raz pierwszy zwrócił uwagę na swoje otoczenie. Leżał nieruchomo na podobnym do kanapy meblu pośrodku tego fantastycznego pomieszczenia, a przed nim stała stonogowata istota, trzymająca wypolerowaną metalową rzecz i trzaskająca kolcami na szyi. Campbell zorientował się, że obcy mówi coś do niego, i zaczynał mgliście rozumieć, co zostało powiedziane, poprzez zaimplementowane procesy myślowe Tothe, tak samo jak i wiedział, iż tamten nazywa się Yukth, i jest najwyższym panem nauki.

Campbell nie zwracał jednak na niego żadnej uwagi, ponieważ układał w głowie swój desperacki plan, plan tak obcy sposobowi myślenia Yekub, że przekraczał zdolności pojmowania Yuktha, dzięki czemu zaskoczył go zupełnie nieprzygotowanego. Yukth, podobnie jak Campbell, widział leżący na pobliskim stole ostro zakończony kawałek metalu, ale dla Yuktha był to tylko przyrząd naukowy. Nawet nie pomyślał, że mógłby on zostać użyty, jako broń. Ziemski umysł Campbella dostarczył odpowiedniej wiedzy i działanie, mające miejsce po chwili, wprawiło ciało Tothe w ruchy, jakich żaden człowiek na Yekub nigdy jeszcze nie wykonywał.

Campbell chwycił szpiczasty kawałek metalu i pociągnął gwałtownie prującym ruchem w górę. Yukth cofnął się i przewrócił, z wnętrzościami wypływającymi mu na podłogę. W mgnieniu oka, Campbell pomknął ku drzwiom. Szybkość jego ruchów była zdumiewająca, pełna radości ze spełniających się obietnic jakie mu dawały nowe odczucia fizyczne.

Biegając, kierował się w pełni instynktowną wiedzą, zaimplantowaną w odruchach fizycznych Tothe, tak jakby ponownie się narodził, z odrębną świadomością w nogach. Ciało Tothe niosło go drogą, którą pokonywało dziesiątki tysięcy razy, ożywiane przez umysł człowieka z Yekub.

Pogonił krętym korytarzem, dalej okrągłymi schodami do góry, a potem przez jakieś rzeźbione wrota. Te same instynkty, które go tutaj sprowadziły, powiedziały mu że znalazł to czego szukał. Stał w okrągłym pomieszczeniu, z kopulastym sklepieniem, przez które przesączało się sine, niebieskie światło. Pośrodku podłogi o wszystkich barwach tęczy wznosiła się dziwna konstrukcja, zbudowana warstwa na warstwie, każda w odmiennym, jaskrawym kolorze. Ostatni poziom tworzył purpurowy stożek, z wierchołka którego wydobywały się kłęby niebieskiej mgły, dryfujące w górę w stronę wiszącej w powietrzu sfery – sfery rozjaśnionej jak prześwitująca kość słoniowa.

To, jak oznajmiły mu głęboko wryte w pamięć wspomnienia Tothe, był bóg Yekub, którego imię, chociaż ludzie tutaj bali się go i czcili, zapomniane było już od miliona lat. Między nim a ołtarzem, którego nigdy nie tknęła ludzka ręka, stał kapłan-robak. Dotknięcie ołtarza było bluźnierstwem, które nigdy by nie przyszło do głowy żadnemu człowiekowi z Yekub. Kapłan-robak stał sparaliżowany przez zgrozę, do chwili kiedy kawałek metalu Campbella nie wydarł z niego życia.

Na swoich stonożych nóżkach, Campbell wdrapywał się na kolejne warstwy ołtarza, nie zważając na zmiany jakie miały miejsce w unoszącej się sferze, ani na dym, który teraz wydobywał się niebieskimi chmurami. Upajała go żądza władzy. Przesądów z Yekub bał się nie bardziej, niż tych z Ziemi. Mając w rękach tę kulę, stanie się królem Yekub. Ludzie-robaki nie ośmielały się niczego mu zabronić, kiedy będzie trzymał ich boga jako zakładnika. Wyciągnął rękę w stronę kuli – obecnie już nie w kolorze kości słoniowej, lecz czerwonej jak krew...

[Frank Belknap Long]

Ciało George'a Campbella wyszło z namiotu, zanurzając się w jasną sierpniową noc. Powolnym, chwiejnym krokiem, wędrowało między pniami ogromnych drzew, po leśnej ścieżce, zasypanej słodko pachnącymi sosnowymi igłami. Powietrze było chłodne i ostre. Niebo wyglądało jak odwrócona czasza ze zmrożonego srebra, poznaczone plamkami gwiazdnego pyłu, a daleko na północy zorza polarna rozpościerała długie pasma ognia.

Głowa idącego człowieka, kołysała się ohydnie z boku na bok. Z kącików jego rozluźnionych ust wypływały grube nitki bursztynowej pienistej śliny, trzepoczące na nocnym wietrzyku. Początkowo poruszał się wyprostowany, tak jak szedłby człowiek, ale stopniowo w miarę jak namiot coraz bardziej się oddalał, jego postawa ulegała zmianie. Tors niemal niedostrzegalnie zaczął się pochylać, a członki jakby skracać.

Na odległej kosmicznej planecie, podobne do stonogi stworzenie będące Georgem Campbellem, przycisnęło do piersi boga, którego obrysy były czerwone jak krew, i pobiegło owadzimi szarpnięciami przez tęczowo ubarwioną salę, wypadając następnie poprzez potężne wrota na jasne światło obcych słońc.

Lawirując między ziemskimi drzewami, wyglądając jak niezdarnie poruszające się człowiek-zwierzę, ciało George'a Campbella dopełniało swego pozbawionego umysłu przeznaczenia. Długie, szponiasto zakończone palce odciągały gałęzie z pachnących zasłon z sosnowych igieł, zmierzając w kierunku szeroko rozlanej tafli błyszczącej wody.

Na dalekiej pozagalaktycznej planecie robakowatego ludu, George Campbell poruszał się pomiędzy blokami czarnych cyklopich murów, długimi, obsadzonymi paprociami alejami, trzymając w górze okrągłego, czerwonego boga.

Na Ziemi, w leśnym poszyciu koło błyszczącego jeziora, gdzie umysł robakowatego stworzenia zamieszkał rozchwiane instynktami ciało, rozległ się ochrypy zwierzęcy wrzask. Ludzkie zęby zatopiły się w miękkim zwierzęcym futrze, rozerwały ciemne zwierzęce ciało. Niewielki srebrny lis w szaleńczym odwecie wbił swoje kły w porośnięty futrem nadgarstek człowieka i szarpał się przerażony, kiedy jego krew tryskała na wszystkie strony. Z wolna ciało George'a Campbella wstało, z ustami zachlapanymi świeżą krwią. Z dziwacznie kiwającymi się górnymi członkami, ruszyło w stronę wód jeziora.

Kiedy stworzenie, będące Georgem Campbellem, pełzało pomiędzy czarnymi kamiennymi blokami, tysiące robaczych postaci padało przed nim na twarz w błyszczącym pyłe. Gdy tak zmierzał powolnymi, falistymi ruchami, w stronę tronu duchowego imperium przewyższającego wszystkie władztwa Ziemi, z jego wijącego się ciała zdawała się emanować boska potęga.

Traper przedzierający się ze zmęczeniem przez gęste lasy, na Ziemi, w pobliżu namiotu, w którym robakowate stworzenie zamieszkało w ciele George'a Campbella, doszedł do błyszczących wód jeziora i dostrzegł, że unosi się na nich coś ciemnego. Spędził w lesie całą noc i w bladym blasku świtu, zmęczenie otulało go ołowianym płaszczem. Ale pływający kształt był wyzwaniem, któremu nie potrafił się oprzeć. Podeszedł do krawędzi wody, uklęknął w miękkim mule i wyciągnął się w stronę pływającej na wodzie masy. Powoli przyciągnął ją do brzegu.

Daleko w przestrzeni kosmicznej, robakowate stworzenie niosące świecącą czerwienią kulę, wspięło się na tron, świecący jak konstelacja Kasjopei pod pokrywą obcych hiper-słońc. Trzymane przez niego w górze wielkie bóstwo zalało energią jego robacze ciało, wypalając w białym ogniu nieziemskiej duchowości, wszystkie zwierzęce nieczystości.

Na Ziemi, traper spoglądał z niewypowiedzianym przerażeniem na poczerwiałą, włochatą twarz topielca. To była zwierzęca twarz, odrażająco antropoidalna w konturze, ale wystawał z niej poskręcany, zniekształcony pysk, z którego wylewała się czarna maź.

— Ten, który szukał twego ciała w głębinach Czasu, otrzymał niezbyt właściwe dziedzictwo — oznajmił czerwony bóg. — Żaden potomek Yekub nie jest w stanie kontrolować ciała człowieka.

— Na całej Ziemi, żywe stworzenia rozszarpują się nawzajem i pożerają z niewysłowionym okrucieństwem swych krewnych i przyjaciół. Umysł żadnej robakopodobnej istoty nie zdoła opanować zwierzęcego ciała człowieka, wiecznie pragnącego zdobyć. Tylko ludzkie umysły

instynktownie uwarunkowane w ciągu dziesięciu tysięcy pokoleń mogą utrzymać instynkty człowieka w ryzach. Twoje ciało na ziemi, zniszczy samo siebie, szukając krwi swych zwierzęcych braci, szukając chłodnej wody, w której będzie mogło się bez przeszkód wytarzać. Szukając w końcu także zniszczenia, ponieważ jego instynkt śmierci jest potężniejszy niż instynkty życia, i zniszczy samo siebie, w poszukiwaniu pyłu, z którego powstało.

Tak przemówił do George'a Campbella, okrągły, czerwony bóg z Yekub, w odległym segmencie kontinuum czasoprzestrzeni, kiedy ten pierwszy oczyszczony ze swych wszystkich zwierzęcych pragnień, zasiadł na tronie i rządził imperium robaków, mądrzej, łagodniej i bardziej sprawiedliwie, niż którykolwiek z ludzi rządził jakimkolwiek imperium człowieczym.

KONIEC